

Sławomir Tomasz Roch  
rycerzniebieski@wp.pl

AW II / 3579  
31.05.2010 r. Glasgow Scotland  
Święto Nawiedzenia NMP

Wpłynęło dnia 16 CZE. 2010  
L 18710

**WSPOMNIENIA CZESŁAWY ROCH  
Z D. RUSIECKA Z KOLONII TERESIN W POW. WŁODZIMIERZ WOŁYŃSKI NA  
WOŁYNIU 1940 – 1946**

Nazywam się Czesława Roch, mam 69 lat, mieszkam we wsi Mieniany 26, gmina Hrubieszów, powiat Hrubieszów, woj. Lubelskie. Urodziłam się 07 lutego 1935 r. na kolonii polskiej Teresin, gmina Werba, powiat Włodzimierz Wołyński, woj. Wołyńskie. Mój tata miał na imię Leonard Rusiecki, jego rodzice to Jan i Zofia z Kalinowskich. Moja mamusia to Helena Rusiecka z domu Roch, ur. w roku 1916. Jej rodzice to Władysław i Stanisława z domu Gronowicz. Niestety gdy moja mama Helena miała zaledwie dwa latka jej mamusia Stanisława zmarła na tyfus i została pochowana na cmentarzu w Swojczowie. Wtedy Władysław Roch wziął sobie za żonę młodszą siostrę Staszki Amelię Gronowicz i to ona właściwie wychowywała moją mamę Helenę i drugą siostrę Kazimierę, która była starsza, była z roku 1914. Dziadek Władysław i babcia Stanisława Roch mieli jeszcze czworo innych dzieci, ale wszystkie pomarły jeszcze jako niemowlaki i zostały pochowane na cmentarzu w Swojczowie. W naszych czasach nie było szpitali i dzieci odbierały przygotowane do tego kobiety, takie akuszerki, potocznie zwane „babki”. Jeśli dziecko było słabe, zaraz „chrzcili” je wodą, stąd ja rozumiem, że jeśli zostały ochrzczone przed śmiercią to dziś są to nasze małe aniołki rodzinne tam w niebie. Moja mama Helena miała troje rodzeństwa, które urodziła Amelia Roch, w tym najstarszy Tadeusz Roch, prawdopodobnie z roku 1920, potem był Roman z roku 1922 i trzecia urodziła się Zosia, chyba w roku 1927. Warto jeszcze tylko dodać, że Staszka i Amelka miały jeszcze dwie siostry rodzone, były to Michalina, która wyszła za mąż za Polaka Moniaka oraz druga za Polaka Życzko.

**MOJE LATA BEZTROSKE**

Byłam dzieckiem pierwszym i najstarszym, w 1938 r. urodził mi się braciszek Ryszard, niestety zmarł gdy miał tylko sześć tygodni, nie pamiętam tego ale wiem, że pochowano go na cmentarzu w Swojczowie. W roku 1940 urodził się Piotr, a dwa lata później Roman. Sakrament Chrztu Świętego otrzymałam w kościele parafialnym Narodzenia NMP w Swojczowie, moi rodzice chrzestni to Kazimiera Brzezicka z d. Roch i Stanisław Rusiecki. W wyniku późniejszej zawieruchy wojennej i zburzenia naszego kościoła w Swojczowie przez Ukraińców w sierpniu 1943 r., po dramatycznej i wymuszonej ucieczce naszej rodziny na Zamojszczyznę w roku 1944, moja I Komunia Święta miała już miejsce w Horodle nad Bugiem w kościele pw. św. Jacka i Matki Bożej Różańcowej. To wydarzyło się jednak za lat kilka, póki co byłam dzieckiem bardzo szczęśliwym i można powiedzieć beztroskim, choć moje dzieciństwo przypada już na lata okupacji niemieckiej.

Pamiętam bardzo dobrze nasze rodzinne święta na Teresinie, a już najbardziej święta Wielkanocne. Przychodziła do nas w te dni z Zastawia w Kohylnie babcia Amelia Roch i pisała pisanki, bardzo chciałam jej pomóc, ale zawsze coś nabroiłam. W domu było w tych dniach dużo pracy, rodzice bardzo starali się, by nam niczego nie brakowało. Na nabożeństwo jechaliśmy do Swojczowa, w samo południe bowiem

na Rezurekcję, to dla nas dzieci było jeszcze za trudne. Ostatnie święta Wielkanocne 1943 r. upływały już w charakterze smutku, a nawet łez, czasy były napięte, niepewne i nie było już z nami Romana Rocha, którego w roku 1942 zabrali na przymusowe roboty do III Rzeszy. Babacia Amelia nie zapomniała o nim, bardzo go żałowała i posyłała mu paczki żywnościowe, o dziwo mógł nawet do nas napisać i korzystał z tego posyłając nam kartki z Niemiec. Wracam jednak do mego dzieciństwa, bo i ten epizod był nieco później.

Choć na Teresinie nie brakowało dzieci byłam jeszcze mała, dlatego właściwie nigdzie się nie pałętałam. Ale miałam swoją ulubioną koleżankę, to była Polka z Teresina Rozalia Bojko i z nią bawiłam się dość często. Co prawda mieszkała daleko, niemal 2 km od mojego domu, ale ja bywałam u mojej cioci Kazimieri Brzezickiej z d. Roch, a Rozalia mieszkała niedaleko. Ciocia Kazimiera miała córeczkę Halinkę urodzoną około 1939 r., a rodzona siostra jej męża Jana, która mieszkała przez miedzę miała troje małych dzieci, było więc z kim się bawić. Pamiętam, że razem robiliśmy niekiedy niemalą grandę. Najwięcej czasu jednak poświęcał nam zawsze tata Leonard, który bardzo nas lubił i chętnie z nami baraszkował. W tym czasie w naszym domu często przebywali Romek i Tadeusz Roch, przychodzili do nas w goście z Kohylna, a gdy wracali do siebie, często zabierali mnie ze sobą. Lubiałam chodzić do mojej babci Amelii, poświęcała mi bowiem wiele czasu, zabawiała mnie i co najważniejsze, czułam że bardzo mnie kocha.

Zastawie to były trzy małe domki jednoizbowe, pobudowane z drzewa, były kryte słomą, w środku nie było nawet podłogi. Stały stosunkowo blisko siebie, mojej babci był ten środkowy. Zaraz obok były zabudowania gospodarcze, ogrody, łąka i naprawdę duży staw. Rosło tam dużo oczeretów, kumkały żaby i co by nie powiedzieć ale chór to Rochy mieli pierwszorzędnym. Oczywiście jako dziecko czułam się w takiej scenerii wspaniale. Woda tam była czysta i głęboka ale nie wiem czy były tam ryby, zapewne tak. A ileż tam gnieździło się przeróżnego ptactwa: kaczki, bociany, kuropatwy, ciągnęło tam jak do rajskiego ogrodu. Babcia Amelia surowa jednak wzbraniała nam tam chodzić, bała się bowiem, że się nieopatrznie potopimy, grunt był bowiem miejscami grząski. Siłą rzeczy najczęściej przebywałam w chacie z babcią, był tam duży murowany i wygodny piec, zapamiętałam go dobrze bowiem lubiałam sobie tam wygodnie poleżeć. Gdy się nagrzał, było tam bardzo przyjemnie. Do babci Amelki przychodziła także Nastazia Roch, była już panią i chętnie zabierała mnie do swojego domu. I choć byłam tam wiele razy to dziś, nie wiele pamiętam, może także dlatego, że nie było to dla mnie już takie ważne. Jedno jest pewne, że i ten dom niczym właściwie nie różnił się od domu mojej babuni. Najmniej bywałam w domu Grzegorza, a to dlatego, że jak to w życiu bywa niemal wszędzie i tam zdarzały się zatargi, z których rodziły się następnie poróżnienia i dąsy. Co ciekawe jednak, panowała tam pewna zdrowa i godna polecenia zasada: nawet jeśli starsi o coś się boczyli, to dzieci miały nakazane żyć w jak najlepszej zgodzie. Dlatego mimo tego i owego, żyliśmy jak jedna wielka rodzina. Poznałam więc dobrze Marysię i Wacka, to były bliźnięta i dobrze nam się razem bawiło. Dużo starsza od nich była Janina ale ona była jakaś chora.

Najbardziej jednak bliska była mi Zosia, która z racji bliskiego pokrewieństwa bywała w naszym domu na Teresinie najczęściej. Szczerze mówiąc byłam bardzo zazdrosna o jej piękne, jasne włosy, ale one były długie i grube. Nie będzie w tym wcale przesady jeśli powiem, że były wprost cudowne. Dobrze przy tym, że wtedy nie wiedziałam jeszcze ile to trzeba trudu i zachodu, aby takie włosy mieć i pielęgnować, bo nie wiem czy aż tak, by mi się wtedy podobały. Zosia miała rzeczywiście piękny

głos, a niemal stale z niego korzystała. Nie było to jednak dla nas wcale uciążliwe, wprost przeciwnie, jej śpiew był tak wdzięczny i delikatny, że doprawdy trudno się było oderwać. Piosenki Zosi najczęściej opiewały jakieś wydarzenia, mniej lub więcej radosne bądź smutne, a słowa, bardzo ciekawe, trafiały nam do serc i potrafiły wzruszyć niekiedy do łez. Ona po prostu miała talent i co najważniejsze umiała z niego skorzystać, podzielić się innymi, to była nasza młoda artystka. Zawsze wesola, rozbawiona, wprost szczęśliwa, ileż ja z nią się wybawiłam i w domu i na Zastawiu. A jakże szczerze kochała swoją mamę Amelię, właściwie nie odstępowała jej nawet na krok i pewnie można o nich powiedzieć: papuszki nierozłączki. Była osobą miłą nie tylko dla mnie, ale dla nas wszystkich i nic w tym dziwnego, że kochali ją właściwie wszyscy. Dlatego też tak dobrze utrwaliła się w naszej pamięci.

W między czasie zaczęła się okrutna i przerażająca w swych rozmiarach wojna, czas więc niezbyt stosowny na przyjęcia i radości ale nie u nas, na głębokiej, spokojnej wsi wołyńskiej. Tu jak widać nie wiele się zmieniło i wszyscy mieli nadzieję, że tak będzie już do końca dlatego byli młodzi i zakochani, którzy nie wahali się zawrzeć związku małżeńskiego. Pamiętam jedno takie wesele kiedy żenił się Tadeusz Roch z Rosjanką, wdową po sowieckim oficerze. Ślub odbył się w Kościele w Swojczowie, a przyjęcie było w domu babci Amelii. Wśród bardzo wielu gości byłam również i ja z rodzicami. Była nawet jakaś orkiestra ale mało mnie to wtedy interesowało, gdyż zaprzętały mnie zabawy z dziećmi.

#### NIEUCHRONNIE NARASTAŁ W NAS LĘK I GROZA

Obraz strasznej i belitosnej wojny wciskał się jednak do naszych dziecinnych, niwinnych serc wszystkimi zmysłami. Zdarzały się bowiem coraz bardziej okropne zabójstwa, niewiele z tego pamiętam, bo wciąż byłam mała, a rodzice chronili nas od tego jak tylko mogli. Nie byli już jednak w stanie zapobiec temu, bym posłyszała o zamordowaniu, ze szczególnym okrucieństwem Polaka Władysława Nowaczyńskiego z kolonii polskiej Augustów. Pamiętam bardzo dobrze, że tego wieczoru nakazali iść szybko spać, więc poszłam ale nie trwało to długo bowiem zanieśli czas przyszedł tatuś Leonard i nakazał, abym szybko wstała. **A ja choć miałam tylko osiem latek mówię do niego: „Co już przyszli nas zabić?”** Odpowiedział mi wtedy że nie, potem wziął na ręce Piotra, mamusia Helena Romcia i wszyscy udaliśmy się do lasu, który był całkiem niedaleko, taki mały lasek w polu. Spaliśmy tam do rana, a ponieważ noce były ciepłe, lipcowe, nie było to jeszcze dla nas specjalnie uciążliwe.

Rano wróciliśmy do domu, okazało się że ktoś był u nas tej nocy w domu, bowiem mieszkanie zastaliśmy zdemolowane. Z tą chwilą praca już się nas nie trzymała, a zewsząd namawiano nas do ucieczki, ale tatuś miał broń i nie chciał uciekać. Płakał i bardzo to przeżywał, a w końcu powiedział: „Zabiją mnie jednego, ale reszta z was przeżyje!” W żadnym wypadku nie chciał dać się namówić do ucieczki, ale zarazem rozpaczał nad naszym położeniem. Nasz tato był dobrym człowiekiem, odważnym, gotowym walczyć w naszej obronie, a zarazem czułym i opiekuńczym. Właśnie wtedy nadszedł dziadzio Jan Rusiecki i na początku prosił tatusia, aby uchronił ze swoją rodziną, ale kiedy to nie poskutkowało, zaczął się do niego dosłownie wydzierać. Mimo wszystko nie uciekliśmy, ale gdy przyszła noc wszyscy udaliśmy się do pobliskiego lasu. Tam jedni czuwali, a inni spali, padał deszcz. Rano dziadzio Jan udał się na Teresin i długo go nie było, wtedy poszła za nim babcia Zofia, po jakimś czasie wróciła i już razem wróciliśmy do domu na Teresin. Około południa jeszcze raz zebrała się cała nasza duża rodzina oraz rodzina rodzonej siostry Jana t.j. Heleny Wawrynowicz, w tym mąż Jan i dzieci: Stanisława, Wacława, Antonina, Józef i Danuta. Mąż Staszki Władysław Wiśniewski i Wacławy

Jan Rusiecki oraz jego syn Leonard, a matką była Zofia z d. Kalinowska. (zdjęcia z prywat. zbiorów pani Janiny Topolanek z d. Rusiecka)



Kazimierz Bortnowski. Jeszcze tego samego dnia przed południem wszyscyśmy uciekli do miasta Włodzimierz Woł.

W połowie drogi babcia Zofia zatrzymała furmanki i widząc tyle ludzi zdecydowała się wrócić po naszą krowę, a my pojechaliśmy dalej. Jak się potem okazało prowadziła już krowę do miasta, ale złapali ją Ukraińcy, zaczęła się tłumaczyć, że ona nie ucieka, ale prowadzi swoją krowę do

byka. W tej sytuacji puścili ją i już na wieczór była z nami w mieście z krową. W tym samym czasie tatuś Leonard i dziadzio Jan znaleźli na ulicy Kolejowej, przy samych torach magazyn piekarni. To było nasze schronienie przez czas najbliższy, właściwie aż do wiosny następnego roku.

Jednak już kilka tygodni później, nasz tatuś który nie chciał siedzieć z założonymi rękoma, beczynninie, gdy wokół działały się tak straszne rzeczy, wstąpił do polskiej policji we Włodzimierzu Woł.. Było ich dziesięciu, a nad nimi pieczę sprawował jeden Niemiec. Takich polskich placówek wokół miasta powstało wiele, nasz tatuś dostał przydział na Cegielnię, ok. trzech km na wschód od Włodzimierza Woł.. Żołnierze ci chronili nie tylko ludność polską przed makabryczną śmiercią, ale organizowali tzw. wypadki w teren, celem zdobycia potrzebnej do przeżycia żywności i innych środków.

#### BOLESNA KARTA NASZEJ RODZINY

Nasza udana ucieczka nie była ewenementem bowiem wielu ludzi, tak jak my uciekło do miasta. Ale już po kilku dniach na ulicach miasta pojawili się Ukraińcy, którzy spotkawszy naszych Teresiaków i nie tylko, namawiali gorąco aby wracać do swoich domów. Argumentowali słusznie, że tam wszystko zostało, cały dorobek życia, wszystko do życia jest, a tu w mieście głód panuje. Oczywiście zapewniali, że nic nikomu się nie stanie, mówili tak: „Zgineli tylko ci co byli winni wykroczeń. A ludzie uczciwi mogą spokojnie wracać na swoje i niczego się nie obawiać. Trzeba zbierać zboże, żniwa za pasem!” Kilka rodzin uwierzyło tej propagandzie i wrócili na naszą kolonię, w tym rodzina Topolanek. I rzeczywiście przez pewien czas było tam cicho i spokojnie, wszystko zebrali, zboże zwieźli. Niestety Ukraińcy jakby tylko na to czekali: „zrobił murzyn swoje, można mu teraz zebra siekierą policzyć.” Jednego, kolejnego ranka miał miejsce brutalny pogrom resztek ludności polskiej Teresina. Zginęło wielu naszych sąsiadów, choć niektórzy się uratowali i właśnie te niedobitki, różnymi drogami docierały w ciągu kilku następnych dni do miasta, informując wszem i wobec, co się wydarzyło na Teresinie. To było straszne, jeszcze dziś bardzo to wszystko przeżywam i muszę czynić wielkie wysiłki, aby się przemóc i spokojnie o tym opowiadać.

Z naszej rodziny ocaleli Jan Brzezicki lat około 35 i jego rodzona siostra Stanisława lat około 30. Ponieważ wiedzieli gdzie się zatrzymaliśmy w mieście,